

kamena

NR 13 (911)

26 czerwca 1988

Cena 35 zł

Bez klaki

Dobrze, że była

TRZECIEJ Lubelskiej Wiosny Teatralnej przyglądali się i sprawozdania z poszczególnych przedstawień na bieżąco składali recenzenci „Sztandaru” i „Kurier”. Toteż nie będą czynić tego raz jeszcze, w nadziei, że zarówno same spektakle, jak i omówienia, są święte w pamięci miłośników tej sztuki. Czas natomiast na kilka refleksji nieco ogólniejszych.

Dla uspokojenia obaw o prowincjonalny charakter „Wiosny” przypominam obecność rewelacji ostatnich dwu sezonów teatralnych — „Sztukmistrza z Lublina”, przywiezionego przez wrocławski Teatr Współczesny. O inscenizacji Jana Szurmieja mówilo się i pisało ostatnimi czasami tak wiele, i to w najpochlebniejszym tonie, że udział tego przedstawienia musi być zaliczony do czynników nobilitujących lubelskie przedsięwzięcie kulturalne.

Ma ten spektakl swoją klasę, choć, po mojemu, zubaża treść literackiego pierwowzoru. Jakoś marginalnym problemem staje się tu spór Jaszy Mazura z Bogiem. Dopiero od śmierci Magdy i sceny wielkiego monologu bohatera — „Sztukmistrz” nabiera Singerowskiego klimatu i sceptyk w sposób prawdziwie przejmujący odnajduje w sobie pokorę, a z nią nową bożarność. Wczesniej spektakl właściwie dzieli się na dwie równoległe części: widowisko rodzajowe, oparte na starannie odwzorowanym i porywającym widza żydowskim obrządku religijnym, oraz sceny z przegrodą miłosnych żydowskiego Casanovy, splecione quasi-brechtowskim songiem do słów Agnieszki Osieckiej, co nadaje przedstawieniu wymiar melodramatu.

Przyjechali — zobaczyliśmy i przynajmniej wiemy, że nie ma doskonałości absolutnej, tak w życiu, jak i na scenie.

Drugim „wielkoteatralnym” dowodem „Wiosny” było „Zagraj to jeszcze raz” Woody’ego Allena. Rzecz zrobił Adam Hanuszkiewicz w Centrum Sztuki Studio w Warszawie. Samo nazwisko reżysera obiecywało mnóstwo atrakcji, z szokami cywilizacyjno-technicznymi włącznie. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło, a liryczno-komediowa historia trójkąta małżeńskiego po prostu nas zachwycała. Doskonały tekst, bogaty warsztat reżyserski, znakomite aktorstwo Gabrieli Kownackiej i Wojciecha Malajkata, wspomagane przez zgrabne i dobrze śpiewające dziewczyny w atrakcyjnej scenografii — to tyle, ile potrzebna, by powstał wielce satysfakcjonujący widza produkt.

Wymieniając pozycje najgłośniejsze, nie sposób zapomnieć o „Kompleksie Portnoya”, przygotowanym przez aktora Teatru Studyjnego 83 w Łodzi. Wprawdzie to sama książka narobiła najwięcej halasu, zwłaszcza wśród tych,

którzy widzieli w niej wyłącznie sprostą opowiastkę erotomaną. Na szczęście w monodramie Sławomira Olszewskiego bohater jest wielowymiarowym człowiekiem, przede wszystkim buntującym się przeciw więzom żydowskiej kultury (wyniesionej z domu rodzinnego) i wciąż przez nie zniewalanym, widzącym wszystkie stonki między ludźmi jako relacje żydowsko-gojowskie.

Miała więc lubelska impreza „swoje, jakże mile dzisiaj widziane, akcenty żydowskie. I w tym nie znalazła się poza obowiązującym kanonem.

Jeżeli już o tendencjach i modach, to warto wspomnieć o dramaturgii radzieckiej, dziś dopiero odkrywanej o-

czom poskiego widza. Był więc „Mandat” Nikolaja Erdmana z którym dobrze wystąpił gospodarze, i „Szkariatna wyspa” Michaila Bulhakowa, stanowiąca przedstawienie dyplomowe łódzkiej studentów PWSFTiTv. Obydwa spektakle mówią w sposób prześmiewczy o mechanizmach zdobywania władzy i sposobach zabezpieczania własnych interesów. W przypadku Bulhakowa byłoby to do odczytania poprzez samo podanie tekstu sztuki, ale Maciej Prus (reżyser) nie zaufał inteligencji widza, toteż wykonawcy wciąż dawali nam znaki, że ich kierownik miał intencje sztukę uwspółcześnić, zwracając uwagę na paralelnosć pewnych sytuacji. Dopingowani ciagle do wylapywania

allegorycznych sensów, lapaliśmy się na śmiechu z byle czego, byle symbolu naszej rzeczywistości, wplecionej w spektakl. Ponadto „Szkariatna wyspa” jest interesującą refleksją o teatrze jako sztuce umowności, a podopiecznych Macieja Prusa cechowała ogromna żarliwość wykonawcza.

Powiedziano się o jednej szkole aktorskiej, należy i o drugiej. Zespół PWST z Krakowa pokazał „Wnęć Księżniczkę Burgunda”, przygotowaną pod kierunkiem Jerzego Stuhra. Występ odznaczał się precyzją aktorskiego rzemiosła. Dramat Gombrowicza wymagał od aktorów skupienia, dobrej dykcji oraz wystudowanych w najmniejszym detalu groteskowych gestów. I tak to zostało zagrane.

Do kategorii debiutanckich przedstawień można dorzucić lubelskie „Poobleśnie i graszki”, wyreżyserowane przez Jacka Gierczaka, też pomyślane jako przedstawienie warsztatowe. Trudno po pierwszym przedstawieniu wystawić młodym aktorom właściwie cenzurki, ale można optymistycznie sądzić, że z wielu będzie w teatrze pociecha, a w różnorodności siła.

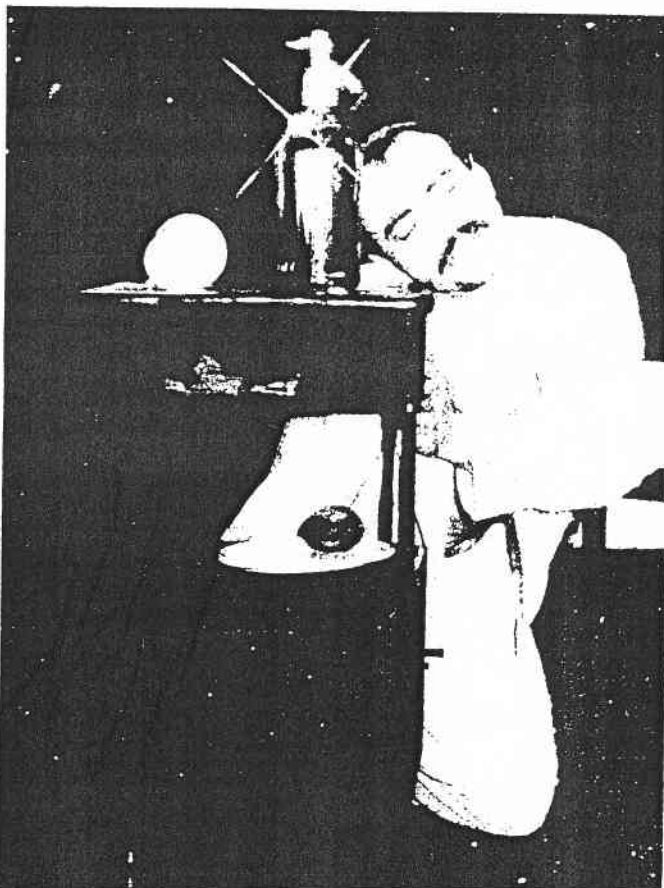
Było o stawiających pierwsze kroki, to teraz trzeba o znakomitościach naszej sceny. Jedną z nich — Romana Wilhelmiego — widzieliśmy w „Emigrantach” Mroźka. Grał AA, a właściwie zgrzywał się, lecz nie przed swoim partnerem scenicznym XX (Damian Damięcki), co uzasadniały treść sztuki, ale wprost przed publicznością. Widzieliśmy udawanie zamiast aktorstwa. Wilhelmie „wychodzą” wielcy prostacy (patrz Dyżna), w miniaturze zaś poczuł się nieswojo.

No, a bastion naszej dobrej tradycji teatralnej — Stary Teatr im. H. Modrzejewskiej z Krakowa? Dał sobą pokierować jakimś amatorowi zza oceanu i zmarnował siły na amerykańskie sztuczki do niejakiego Eda Gracyka, pełne dziwności transseksualnych i psychologicznych kłaków. Chyba na długi czas zarzucą w Krakowie takie kooperacje.

Ponieważ teatr współtworzy publiczność, o niej teraz słów kilka. Ogólnie rzecz biorąc, przybywała tłumnie, znakomicie orientując się w tym, co najlepsze. Wtedy nawet przejęcia między rzędami były dobrym punktem obserwacyjnym. Niemile zaskoczenie stanowiła dla mnie widownia „Chatki Żaka”, czyli studencka, która do niedawna uważana była za najwrażliwszą. Tymczasem studenci burzyli rytm przedstawienia oklaskami w niefortunnym miejscu, na wszystko reagowali śmiechem jak na „Podwieczorku przy mikrofonie”.

Ponadto na pewno nasza publiczność ma kłuit obokrajowa. Wystarczyło Węgrów z ich przestarzałym muzycalem, słabym wokalnie, chaotycznym w choreografii i nijakim w wykonaniu tańca, przedstawionym przez zespół w mocno sfatygowanych kostiumach, by zafundować im oklaski na stojąco. Czy nie za dużo kurtuazji?

Ciągle wyciągam na wierzch niedoskonałości przedstawień, jakbym chciała przegładowi odebrać wartość, ale to tylko tytuł okienka, któremu chce być wierna, tak mnie dopinguje. Lubelska Wiosna Teatralna była w sumie udaną imprezą — już chociażby poprzez to, że w ogóle była.



Sławomir Olszewski w „Kompleksie Portnoya”

Fot. Romuald Sakowicz

Magdalena Jankowska